Czubek periodyczny

Skład redakcji: **Nr 2/2015 1.04.2015**

Bartłomiej Figura, Michał Maciąg

„Czubek wieńczy dzieło."

M. Maciąg



Manifest, czy też zaproszenie do poszukiwań twórczych

A więc piszemy... Wielu z Was patrzyło zaskoczonych – mniej lub bardziej - na pierwszy numer „Czubka periodycznego". Chyba tylko w jednym wypadku spotkaliśmy się z reakcją, która mówiła, że było to coś jakby oczekiwanego, choć chyba nie do końca było wcześniej wiadomo, o co dokładnie chodzi. A więc piszemy... Jednak co i po co? Wszystko i dla wszystkich. Nie zawężamy sztuki do żadnych wąskich granic, opinie na temat naszych tekstów przyjmujemy z życzliwym uśmiechem, ale nie piszemy pod publikę. Tworzymy dla rozwoju kultury i cywilizacji. A więc piszemy... Czy jednak nie wypadałoby napisać na początek jakiegoś programu zamiast programowej bezprogramowości? Odpowiedź na to pytanie została już sformułowana. I to nie przez nas, lecz przez naszych wielkich poprzedników – artystów Skamandra. Tuwim, Lechoń, Słonimski... Stworzyli oni poezję nową. Zarówno pod względem języka, jak i treści. Pragnęli mówić o świecie i ze świata czerpać. Nie nienawiść do dnia dzisiejszego szerzyć, lecz go w dziełach uwieczniać. W dziełach pełnych życia i wiary w to, że człowiek jest dobry. W dziełach, które weszły na stałe do kanonu wielkiej literatury. W swoim manifeście z roku 1920 pisali „Nie występujemy z programem, gdyż programy są zawsze spojrzeniem wstecz, są dzieleniem nieobliczalnego życia przez znane." I my, podobnie jak „kolumbijscy" rewolucjoniści, widzimy świat piękny i radosny. Świat, który wszędzie zaskakuje nas i zawsze będzie zaskakiwał. W tym miejscu wypada znów sięgnąć po przywołany już tekst. „ Świat jest przed nami! (...) Nie możemy więc powiedzieć dokąd idziemy i jaki jest cel podróży." I taka przecież jest prawda. W imię poszukiwań twórczych mamy prawo zarzucać pracę nawet nad dziełami, które są wielkie, choćby były już na ukończeniu. Ideą nadrzędną wobec większości innych jest w naszym przypadku pełna wolność twórcza. Wolność ta, pojmowana tak szeroko jak tylko dla katolika może być to zrobione (co innego nie jest już sztuką a bluźnierstwem i jest niedopuszczalne), ma stworzyć przestrzeń dla nowości, dla świeżego oddechu polskiej literatury. Chcemy by oddech ten, który jest wtórnym katalizatorem czynów dobrych i szlachetnych, a w związku z tym i wszelkiej sztuki wyższej, pojawił się właśnie dzięki m.in. naszym działaniom. Wiąże się to ze zorganizowaniem czegoś więcej niż tylko gazetki literackiej. Tym czymś jest próba zgrupowania wokół „Czubka periodycznego" środowiska artystycznego naszej szkoły, połączenia przy jednej inicjatywie poszczególnych ludzi, którzy niekoniecznie muszą mieć podobne tendencje, ale razem mogą stworzyć nową jakość. I nie

mówimy tu tylko o literaturze czy rysunku. Pragniemy, by obok czasopisma rozwijała się współpraca interdyscyplinarna, która może przynieść, zaskakujące być może dla wszystkich jej twórców, efekty. Zaskoczenie stanowi bowiem nieodłączny element pracy twórczej. Element jakże ważny i jakże pozytywny. Bo przecież nie wiemy, gdzie pójdziemy, szukając nowych dróg dla literatury, sztuk plastycznych czy muzyki. Na koniec powtórzmy jeszcze raz to, co niegdyś napisali Skamandryci. Coś, z czym może się nie zgadzamy, ale co mówi wiele o tym, co robimy i co w jakiś sposób stanowi wyznacznik naszej pracy. Chcemy więc oświadczyć za ich manifestem, że „gotowiśmy się nawet nie przerazić zarzutu, że nie dajemy nic nowego i powtórzyć stary okrzyk o bryle świata, którą nowymi torami pchnąć mają nasze ramiona. Jeśli jest to banalność, chcemy być banalnymi, lecz nie zdradzimy serc dla nowinek. Największą nowiną jest cały dzisiejszy świat, jest życie współczesne, jesteśmy my sami; kto dla siebie przestał być nowiną, ten jest upiorem pomiędzy żywymi, choćby z krzykiem życie udawał. Lecz raz jeszcze rzucając dawne hasła, świadomi jesteśmy, żeśmy o sto lat starsi, że słowa nasze są inne, choć brzmienie to samo, że nadeszły inne czasy, które w starym symbolu ujrzeć pragną i muszą – nową treść.”

Zapraszamy Was do współtworzenia „Czubka”! Czekamy na Wasze teksty i rysunki, które opublikujemy w kolejnych numerach. Jesteśmy otwarci na nowe propozycje i krytykę. Skontaktować z nami możecie się osobiście bądź za pomocą poczty elektronicznej, przez adres: (szanowny.redaktor@gmail.com). Liczymy na owocną współpracę. Razem możemy stworzyć nowy rozdział w historii naszej szkoły.

Michał Maciąg

Redakcja (277)

Rycerz Rydygier, co żył w zamku pod Olsztynem,
pragnął porównać oczy damy swej z bursztynem.
Przywołał giermka i dyktować mu zaczyna,
lecz na „bursztynie” utknął biedny ów chłopina.
Jak to się pisze, długo głowił się, nieborę,
w końcu napisał: „to, co wyrzuciło morze”.
Tę notę zaraz podesłano do komtura,
by była procedura, pieczęć i cenzura.
Tam zaś rozgardiasz był i wszystkie jego skutki:
ktoś świsnął świstki; został tylko jeden krótki.
Że fraza z morzem była długa niesłychanie,
mistrz Hohensztapler rozporządził jej streszczanie.
Za poleceniem spisał tak usłużny skryba:
„Wybranko mego serca, oczy masz jak ryba”.
Owa historia, chociaż dziwna jak abstrakcja,
wyjaśnić może, czym w istocie jest redakcja.

■

8 sierpnia 2014 roku

Michał Maciąg

Pierwszy przegląd refleksyjny (296)

[Rozdziały 1. i 5. usunięto]

2.
Rzecz, którą wiemy albo nie wiemy
to: trzy są znaki na trzy problemy.
Pierwsze – problemy do rozwiązania,
drugie – problemy do pokochania,
a poza nimi są jeszcze trzecie,
których do czasu nie ma na świecie
i ich nie będzie na świecie zgoła,
aż je ktoś wreszcie na świat wywoła.
Dość jest tych pierwszych, co próby długie
każą je mylnie czytać za drugie.

3.
Kłopot się bierze z braku kłopotu
i bardzo rosnąć chce bez odwrotu.
Jeśli co złego się pojawiło,
to stąd, że wcześniej tego nie było.

4.
Kłopot nie będzie ci przyjacielem.
Miń go lub idź z nim, myśląc nad celem.
Cel jest konkretny. Świat go przesłania,
lecz znasz niektóre zastosowania.

6.
Trzy są w żywocie ludzkim okresy:
pierwszy – gdy można odnieść sukcesy,
drugi – gdy trzeba, by się zdarzyło
i wreszcie trzeci – gdy trzeba było.

7.
Każą podstawiać łby do zakucia,
pisząc, że wykres to nie uczucia.
Na cóż nam głuchy głos romantyka,
gdy pełna uczuć jest statystyka?
Odsetek ślubów oraz rozwodów,
aneks z tabelą częstych powodów,
wykresy zbrodni, z samobójstw noty,

liczba stwierdzonych stadiów głupoty,
bilans sprzedanych róż eksportowych,
ogólna suma tych oraz owych
i wiele innych. Powiedzcie szczerze,
skąd, jak nie z uczuć, się wszystko bierze?
Na cóż zachwycać się erotykiem?
Myślcie nad spisem albo rocznikiem.

8.
Lezą do oczu błędy bezkarne;
nic nie jest białe i nie jest czarne.
Choćbyśmy chcieli i zresztą chcemy,
kontrastu nigdy nie osiągniemy.

9.
Czymś jest natura jednak zatruta:
otóż po stracie lewego buta
nie jest but lewy przedmiotem sprawy,
ale najbardziej mierzi but prawy.
Zawsze równajmy w górę pospołu,
byle nie równać tylko do dołu.



30 września 2014 roku

Michał Maciąg

Optymizm (251)

Kiedy pochyłą równią w dół wasz los się stacza,

pomyślcie lepiej, co naprawdę to oznacza.

Gdy wszystko psuje się, to przecież w pewnej porze

nastąpi moment, w którym „gorzej być nie może".

Do tego dążąc, zawsze miejcie to na względzie,

że jak nie gorzej, to już tylko lepiej będzie.

I fakt ten niewątpliwie zmusza do stwierdzenia:

„Gorzej – to lepiej". Pamiętajcie. Powodzenia!



25 maja 2014 roku

Bartłomiej Figura

Czym się różni królik od marchewki?... –
– Część 2.

Wszelkie podobieństwo do osób lub zdarzeń rzeczywistych jest przypadkowe.

Gdy wszedłem do sali Marine, było już bardzo późno. Ona siedziała przy biurku i wpisywała coś na komputerze.

– Witaj – powiedziałem

– Witaj – podniosła głowę – nie spodziewałam się ciebie. Jakaś ważna sprawa?

– W zasadzie to nie. Ale...

– Tak? O co chodzi?

– Sędziwy Ojciec zniknął.

– No, wiem. Ale wykonuje zadania...

– A mnie się właśnie wydaje, że on nie wykonuje zadań.

Ona zdziwiła się.

– Nie wykonuje zadań?

– Nie, jest w tym coś podejrzanego. Coś, co powinno nas zainteresować, coś czym powinniśmy się zająć.

Ona zamknęła jakiś program, wyłączyła komputer i podjęła rozmowę.

– To znaczy: co?

Wiedziałem, że mnie wysłucha i może mi pomoże

– To znaczy... Nie wiem, co. Ale mam nadzieję, że się dowiem. Dobra... Kiedy go widziałaś po raz ostatni?

– Jakiś miesiąc temu? Może więcej? Może mniej?

– A gdzie to było?

– Nie wiem. – zastanowiła się – Może w pokoju nauczycielskim, może na trzecim piętrze. Nie, nie, na pewno w pokoju. Tak, brał jakieś materiały.

– Jakie materiały?

– Nie wiem. Ja się tym nie zajmuję. Co ja, szpieg jakiś jestem?

– Od teraz tak.

– Że niby twój?

– A coś ci się nie podoba?

– Nie, skądże. Tylko, że nie przypuszczałam, że ty i tajne służby...

– To jest temat na inną rozmowę.

– Jasne.

– Dobra, więc te materiały to mogły być materiały dla jednego z moich informatorów. Przy czym nie znamy źródła ich pochodzenia. Raczej nie były jego autorstwa.

– Czy on ma coś wspólnego z Księciem?

Zaskoczyła mnie tym pytaniem.

– Co wiesz o Księciu?

– Całkiem sporo.

„No to pięknie" – pomyślałem – ja tu się staram coś zorganizować, a ona mną pogrywa jak chce, jak się jej podoba".

– To znaczy ile?

– Wystarczająco.

Dalej rozmowa nie kleiła się. W końcu po ustaleniu tylko tej sprawy wyszedłem i skierowałem się w kierunku parteru. Pierwsze spotkanie Klubu Inteligencji miało miejsce w pociągu jadącym do Chełma. W naszej salonce zasiedliśmy koło godziny ósmej minut trzydzieści. Słońce rzucało jasne promyki na rzeczywistość, czyniąc ją nową, tętniącą życiem i pragnącą nadziei. Kwiaty wzrastały, by wzrastać, a prawda była prawdą, tak znaczyło tak, a nie znaczyło nie.

Na samym początku trzeba zauważyć, że siedzenia naszej salonki nie były zbyt wygodne. Za duże wygody mogły powodować dyskomfort ascetów. Tak, był to poważny problem, ale niestety, niestety tylko ja jeden go dostrzegałem. I na tych właśnie niewygodnych krzesłach przyszło nam dysputować nad sprawami jakże wielkiej wagi. Nad tosterem.

– Witam wszystkich na pierwszym spotkaniu Klubu Inteligencji. – rozpoczęła owo pani Ostkowska – Na początku swój odczyt pt. „Dajcie mi toster!" wygłosi Michał.

Rozległy się brawa. Rzeczony obywatel wstał.

– Tak, tak, witam wszystkich i bardzo dziękuję za tak miłe przyjęcie. A więc, drodzy przyjaciele, inteligenci, wykształciuchy wszelkiej maści. – rozpoczął i tu zaśmiał się jak nasz Kapitan za swoich najlepszych czasów – Spotykamy się tu dzisiaj w nie byle jakiej sprawie. W sprawie, rzec by można, wyjątkowej, nieomalże krakowskiej. A pani, tak, tak, pani, nie robi tak ustami. Pani niechęć do

Krakowa, jest nieuzasadniona. Pani nie lubi nieświeżego powietrza, to pani jest dziwna. Pani nie rozumie sztuki Krakowa. Ale, dobrze, przechodząc do rzeczy... W ostatnich latach w społeczeństwie naszym dostrzegalne jest tragiczne, wysoce niebezpieczne zjawisko. Zapomnieliśmy, podkreślam, zapomnieliśmy, czemu służyć ma postęp technologiczny, a właściwie szerzej – cywilizacyjny – człowieka. Tak, tak, zapomnieliśmy. Widać to wyraźnie, gdy przeanalizuje się zachowania społeczeństwa naszego w ostatnich trzech latach. Żeby nie omawiać wszystkiego wystarczy przyjrzeć się sprawie dla nas kluczowej, sprawie, bez której trudno wyobrazić sobie analizę polskiego społeczeństwa. A mianowicie – sprawę sprzedaży tosterów. Co wobec tego mówią statystycy na temat sprzedaży tosterów? Otóż, patrząc na wyniki ich badań, widzimy rzecz przerażającą. Społeczeństwo popadło w coś dziwnego, coś, co jest sprzeczne z naszymi odwiecznymi ideami – w zakupoholizm i kupuje tostery na potęgę. Byle więcej, byle więcej. Państwo zobaczą te liczby. – w tym miejscu puścił swoje wydruki w obieg – Państwo zobaczą, a to, proszę państwa, państwo zobaczą teraz to zdjęcie, później państwo poczytają, to jest typowy dom typowego Polaka obecnej doby. Tak, dobrze państwo widzą. Człowiek, nie mogąc się uwolnić od kupowania tosterów musi już dziś spać na ulicy, gdyż w domu nie mieści się już nic poza tosterami. I tak jest w większości przypadków. A co będzie za rok, pięć lat, dziesięć, czy dwadzieścia jeśli tego nie zatrzymamy? Już dzisiaj przynajmniej kilku obywateli naszego kraju mieszka w odległości kilkunastu, a nawet kilkudziesięciu kilometrów od własnych domów. Bo tostery zasłaniają wszystko. A teraz niech państwo wyobrażą sobie, co by było gdyby te Góry Tosterowe, uwzględniane już nawet przez geografów zawaliły się. Co wtedy? Proszę wziąć tę kwestię pod rozwagę. Drugą kwestią, którą chcielibyśmy poruszyć jest sprawa jedzenia przez niejedzenie. Tak, tak, dobrze państwo słyszeli, jedzenia przez niejedzenie. Nie jest to błąd czy jakaś fantastyczna teoria, otóż można jeść w ten sposób. Wiele osób należących do obecnego tutaj, wspólnego grona inteligencji nie akceptuje tej możliwości twierdząc, że koncepcja jedzenia przez niejedzenie uderza w fundamenty naszego działania i istnienia naszej grupy. Twierdzą oni również, że nikt, nawet Sekretarz Generalny, nie może zmienić tego faktu. No, cóż, chcieć to móc. A dlaczego każdy nie miałby mieć wolności. Wolności, o której ta druga grupa tak często mówi, a którą sama ogranicza. Jeśli chodzi o nasze koncepcje z tym związane, to proszę bardzo, tu są dokładnie wypisane i uzasadnione. – tu puścił w obieg kolejne wydruki – Dziękuję państwu za uwagę i proszę wziąć pod rozwagę obie poruszone przeze mnie kwestie.

– Dobrze, teraz swój odczyt p.t. „Tak tosterom" wygłosi jeden z informatorów. Prosimy bardzo, - zaprezentowała kolejnego prelegenta Ostkowska. Znowu rozległy się brawa i rozpoczął się kolejny odczyt. Na dworze padał śnieg. Robiło się to ciemniej, to jaśniej, jakby pogoda nie mogła się na nic zdecydować. Gra barw i stukot kół w pociągu. Śnieg i puste pola. Jakieś chaty, gdzieś gdzie nikt nie pamięta nawet, kto i dlaczego w nich mieszka. Jakaś pustka idei i pustka braku idei. Jakiś brak w braku i pustki w pustce. I to poczucie spokoju widocznie towarzyszące moim towarzyszom.

– Witam, wszystkich. – rozpoczął przeciwnik Michała – I od razu spieszę odeprzeć zarzuty liberałów. Nie, nie ograniczamy wolności. To wy to czynicie. Ale może jednak po kolei. A więc zacznijmy od tosterów. Koledzy z poprzedniej grupy zaprezentowali, no cóż, to prawda, rzeczywiste dane dotyczące tychże. Ale zapomnieli o jednym, że to nie może być tak, że jedzenie będzie zastępowane niejedzeniem. Burzy to bowiem naszą podstawową wiedzę o świecie. Mało tego, nie tylko burzy naszą podstawową wiedzę o świecie, ale uderza w fakty, których zmiana powoduje odejście od ideałów grupy ogólnej. Czy godzi się, czy tak można? A więc teraz szanowni państwo, postawmy tę sprawę jasno. Nie ma miejsca na rewolucję w naszej grupie, nie ma miejsca na ewolucję celów, bez

których ta grupa traci swoje przeznaczenie, nie ma miejsca na kłamstwo. W związku z tym niedopuszczalne są nie tylko zmiany postulowane dopiero, przez grupę mojego przeciwnika, ale także zmiany już wprowadzone. – szmer zdziwienia przeszedł po salonce – Tak, tak, dobrze słyszeliście. Konferencja Inteligencji obradująca w Lublinie nie dopuściła tych zmian, ale niestety zostały one zaakceptowane przez Konferencję Inteligencji w Polsce. O czym mowa? Mianowicie – o lodówkach. Jak można była dopuścić do użycia lodówki? Jak można było zgodzić się by tak rewolucyjny, niebezpieczne dla ludzi urządzenie wprowadzić do ludzkich domów. Urządzenie to samo w sobie jednak nie byłoby groźne, gdyby nie posiadało możliwości połączenia go z kolejnym zjawiskiem. I to nie lodówka, a właśnie to zjawisko jest najbardziej niebezpieczne. O czym mowa? – O elektryczności. Niech państwo zobaczą, jak bardzo niebezpieczne to odkrycie. Prąd, jak wiadomo, może kopnąć, może zabić. A mimo to jest stosowany. I to w jak powszechny sposób. Jak dobrze było, gdy nie było prądu.

– Przepraszam...

– Tak? Słucham?

– Przepraszam, ale przecież prąd przyniósł ludzkości wiele dobrego.

– Nie, nie, nie. A ofiary? Czy myśli pani o ofiarach? Niech pani powie mi – ile ofiar porażenia prądem było w XVII wieku?

– Według mojej wiedzy – zero.

– A ile takich ofiar było w XXI wieku?

– Dużo, bardzo dużo.

– No właśnie. I wszystko jasne. To prąd jest temu winien. To przez prąd ginie dużo więcej osób niż bez prądu. A przecież ten wiek się dopiero zaczął. I to dopiero początek. Dziękuję państwu i proszę wziąć wskazane przez mnie fakty pod uwagę. – powiedział jeden z informatorów i usiadł. W tym samym momencie rozległy się brawa, po chwili ucichły. Przez pewien czas nikt nie podnosił się. Kibitka kołysała się pośród śniegu. Siedziałem naprzeciwko Łucji, jeden z informatorów naprzeciwko Róży, Michał naprzeciwko Zosi, a Ostkowska miała przed sobą rzeczy, które pozwolono nam zabrać. Koło niej natomiast, po prawej stronie, siedziała flecistka. Po kolejnym gwałtownym zakręcie w śniegu bieli Łucja uśmiechnęła się.

– Zakręty drogi... – powiedziała.

– Mogłabyś dać spokój? – postanowiłem uciąć to zanim zacznie się dłuższa dyskusja.

– Mogłabym.

– To, proszę cię, przestań.

Zamilkła, ale dalej uśmiech nie schodził z jej twarzy.

– Trzeba mnie było nie wysyłać... – podjęła jeszcze jedną próbę, ale pod ciężarem mojego wzroku zdecydowała się już więcej nie odzywać. Tymczasem zaktywizowała się Róża.

– W to majowe popołudnie...

– Proszę cię, przestań. Naprawdę.

– Dlaczego?

– Ale, ale. Panie, panowie, o czym wy mówicie, mieliśmy mówić o tosterach.

– Daj spokój z tosterami. – ukróciła jego chęć do dłuższych wywodów Łucja – Piękna jest Rosja. Piękna jest Syberia.

– Poczekaj, poczekaj. To zobaczymy jak ci tam będzie pięknie. – tym razem to ja zareagowałem

– Ależ będzie, będzie. To, że jesteśmy na zesłaniu...

– Będziemy.

– Będziemy na zesłaniu, nie znaczy, że tam nie jest pięknie. Dostrzeż to piękno, zachwyć się nim.

– Zachwycam się, a konwersację ciągnę tylko po to, żeby była. – zakończyłem, mówiąc to, co chyba wszyscy myśleliśmy w tej chwili.

– Abyśmy wszyscy chcieli zamilknąć. – to był szept Łucji. Prośba ta pośród padających gwiazdek śniegu ulatywała do Nieba. Nad nami zaczynały pojawiać się gwiazdy. Czwórka rączych koni pędziła przed siebie, tuman krył twarz księżyca.

– Nudno, Ninko, na tej sannie, umilkł, drzemiąc mój woźnica, dzwonek dźwięczy nieustannie, tuman kryje twarz księżyca. – wyrecytowałem zapatrzony w dal rozmarzonym wzrokiem, Łucja spojrzała zafascynowana, więc postanowiłem kontynuować.

– Pamiętam cudne oka mgnienie, niespodziewanie cię ujrzałem, jak nieuchwytne przywidzenie, jak piękno bóstwa doskonałe. – ale oto zauważyłem, że stoimy w miejscu. Konie parskały, tuman dalej przykrywał księżyc, a woźnica... Co z woźnicą? Ani głowy nie widać, ani ręki. Wychyliłem się trochę, ale dalej nic. Skinąłem na resztę by została w kibitce, wielce oryginalnej, bo będącej powozem a nie kibitką. Wstałem, zeskoczyłem na śnieg, otrzepałem ubranie i podszedłem do stanowiska woźnicy. Nie mogłem zrozumieć, co, tak do końca, się tutaj działo. Czy to senna atmosfera okolicy, czy nasz nastrój powodował takie stany, ale nasz woźnica, najzwyczajniej w świecie usnął. I wyobraziłem sobie w tej sytuacji podobną scenę sprzed niecałych dwustu lat. Aleksander Siergiejewicz jadący powozem, ale zakrytym, nie takim jak my. I śpiący woźnica. O, tyś poeto, tyś mnie ukształtował. Obudziłem naszego woźnicę i wróciłem do powozu.

– W udręce żalu rozpaczliwej, pod nieustannych trosk nawałem, słyszałem ciągle głos twój tkliwy i miłe rysy w snach widziałem. – wyrecytowałem kolejny fragment. Łucja uśmiechała się. Róża zasnęła. Jechaliśmy dalej. Przez noc i dzień, przez wieczór i ranek, przez pustkowia i pustkowia. Ku Syberii.

Ranek pachniał świeżością. Nie wiem, która był godzina, gdy się obudziłem. Zesłani, w podróży czasu nie liczą. Słońce rzucało promyk radości na przepiękną okolicę. Gdzieś tam sosny, gdzieś świerki rosły. A to z lewej jakiś zwierz się pojawił, a to przed powóz inny jeleń wyskoczył. Czarne koła już dawno zatraciły swoją naturalną barwę. Napiłem się wody z manierki i bystrzej rozejrzałem się po okolicy. Gdzieś daleko pod lasem, może z dziesięć, piętnaście mil dalej, ktoś

rozpalał ognisko i pożywiał się dobrym mięsiwem, trochę bliżej inny człowiek usiłował rozniecić ogień, ale nie udawało mu się to, w końcu jednak, w cieniu domowego zacisza, dawał sobie radę i jadł. Im bliżej nas widziałem ludzi, tym większe były też trudności z rozpaleniem ogniska. Gdzieś zapadł się lód, gdzie indziej spłonęła chatka, ale topiący się uratował swoje życie, a wszystkim udało się wyjść z płonącego domku. W końcu, chyba jeszcze przed południem, woźnica zdecydował się na postój. Jako pierwszy zszedłem więc z powozu i przystąpić chciałem do rozpalenia ogniska. Po rozpaleniu tegoż podszedłem do Łucji. Uśmiechnąłem się. I odszedłem. Miałem wziąć mięso, ale tego nie zrobiłem. Po chwili podszedłem do milczącej dotąd flecistki. Zamieniłem parę słów i wspomniałem o mięsie. Po czym odszedłem. Minęło trochę czasu. Wpatrywałem się w to ognisko. Szukałem jego sensu, jego znaczenia. Rozżarzone węgle płonęły, wokół topniał śnieg i już widać było ziemię. Na tym małym skrawku powierzchni ziemi zmieniała się pora roku. Zielona trawa przebłyskiwała spod warstw lodu. Znowu odwróciłem się w kierunku powozu. Podszedłem do Róży. Milczała. Próbowałem zagadywać. Mówiłem o mięsie. Dałem kartkę. Przeczytała. I dalej mówiłem. Prosiłem, wołałem. Ale ona odpowiadała tylko czasami. Kolejne kartki kładłem koło niej, a jakby ich nie widziała, nie dostrzegała. W końcu odezwała się. Poszedłem na swoje miejsce, odpoczywałem. Następnie ona odezwała się, gdy minąłem ją w drodze do ogniska. Powiedziałem dwa słowa i poszedłem. Wróciłem. Prosiłem. Odezwała się. A potem nie było już nic. Ognisko zostało. A my jechaliśmy dalej. Milczenie wróciło. I wróciły rozmowy. Przyszło zrozumienie dawnych spraw i samych siebie. Już dawno był postój i ognisko. Już minęło, jechaliśmy dalej. Już nie szukając mięsa, ni postoju.

Któregoś, nie wiem, którego już dnia naszej podróży, znowu mówiliśmy o tosterach. Tostery, tostery, tostery... Ale ileż można! Tym bardziej, że nic konstruktywnego obie grupy nie były w stanie ustalić. W zasadzie to mogłem w tym czasie robić co innego, bo żadnej sprawy w tym sporze nie odgrywałem, byłem gdzieś pośrodku, ale pomimo to, zamiast na przykład rozmawiać z Łucją czy Różą o literaturze, a z panią Ostkowską o sprawach językowych czy innych, dalej słuchałem tych jakże ważnych przecież dywagacji na temat tosterów. Część argumentów powtarzała się, część, nawet tych bardziej sensownych, już zagubiła się gdzieś po drodze. Syberyjski śnieg przyjmował je jak swoje i chronił jak mógł. Syberyjska ziemia oddychała wolnością. Odwieczny porządek świata zachowywał tu porządek rzeczy. Jechaliśmy dalej. Biel malowała świat w kolory idylli, ranek pachniał świeżością, woźnica z radością wiózł nas na Sybir. Ach, jak by się chciało tego śniegu przy ognisku siedzieć! Ach, jak by się chciało móc zjeść trochę ryb! Ach, jak by tak można się zatrzymać! Ale nie można było. Więc jechaliśmy dalej. Z każdą chwilą na naszej trasie stopniowo i bardzo powoli wzrastała liczba ludzi. Z czasem zaczęliśmy dostrzegać wśród nich wyraźnie różnicujące się grupki z pewnego rodzaju przywódcami, którzy wyłaniali się mówili i wracali do reszty lub ginęli na okrutnym, zimnym, syberyjskim śniegu. Grupki te były jednak zawsze w pewnym oddaleniu od naszego powozu. Ten, niezagrożony, mknął naprzód. Niezatrzymany, niepowstrzymany, niedościgniony przez pieszych zesłańców. A dziwni to byli zesłańcy, malowani w barwy słońca, nieraz z twarzami opuszczonymi, jakby spali. Ruszali w rytm melodii, którą przygrywali sobie wspomniani przywódcy. Milczeli. Albo inni, wychodzili, nagle zrywali kajdany własnej niewoli, i dalej szli wolni, lecz nie tylko pod względem fizycznym, ale swoboda ta za chwilę kończyła się i następował powrót do gromady. Inni z kolei krzyczeli coś, mówili, czego nie wolno czynić, po czym sami gubili własne słowa, które zostawały koło nich jak niespełniony obłok wyobraźni. Czysty wiatr unosił tylko nasze rozmowy. Dziwni to byli ludzie. Z twarzami grobowymi, wzrokiem smutnym i uśmiechem niemrawym. Dziwni to byli ludzie. Niepotrafiący odnaleźć siebie, zrywający się nieraz samemu i goniący i upadający w śniegu. Umierali tam lub wstawali. Śmierć zresztą dosięgała wszystkich. Może i tym marzycielom było lepiej, że ginęli w biegu. Nieraz budowali mury między sobą, nieraz sami siebie zabijali. Czy to wzajemnie czy dusząc

w sobie siebie samego. Ich twarze zawsze marą jakąś zaszłe. Ich uśmiech jak uśmiechy trupów po wizycie śmierci zaledwie. Ich oczy jak oczy martwych przed pogrzebem. I tak jechaliśmy, a oni wszyscy stali dookoła. I patrzyli się tym trupim wzrokiem, tym wzrokiem ludzi niestniejących i niebyłych. Tych, którzy ni to żyć nie mają prawa, ni umierać. Dla których nic nie istnieje, a i oni istnieć nie mają prawa. Dłonie, których nie było wyciągają się po ratunek. Część ledwo dotknę. Tylko błogosławię. I wszystkim innym. Nie wciągam, bo nie daję rady. Do tego powozu nikogo nie wciągnę na siłę. Nie da się, nie mogę. Dłonie szorstkie, pełne ufności i pełne strachu. Pełne zawiści i pełne pragnienia dobra. Te, które same z siebie kochają i kochać się boją. Te ręce szorstkie i prawdziwe, ach ludzie, niech wam Bóg błogosławi! – wyrzekłem, wyszeptałem prosząc pokornie Pana mego. Te ręce, ach, ten obraz, biała pustynia i nagle on, kaznodzieja, bodaj jedyny w tym gronie. W gronie rąk spracowanych, razem z nimi i dla nich. Koło nich i wśród nich. Nigdy ich nie zostawiał, on, którego dłonie wyciągały się po tych, którzy i do nas szli prosić i błagać, on, którego płomienne słowa zmieniały rozumowanie. Metanoia. Tak, żebyś wiedział, kim jesteś. Że jesteś synem, a nie niewolnikiem. Obraz powoli zanikał, rozwiewał się. Wstawał nowy w poranku nad śniegiem, który jakby zaczynał ustępować. Obraz zanikał, aż w końcu zniknął całkowicie. Szukałem ludzi, szukałem moich towarzyszy podróży. Nie mogłem ich znaleźć.

Aż w końcu dostrzegłem, że jest nas więcej. Zarówno nas, zesłańców z twarzami radosnymi, z uśmiechem prawdziwym, jak i ich, kaznodziejów wspaniałych i ludzi prawdziwych. I wtedy uśmiechnąłem się, rozejrzałem się wokół siebie. Pociąg wjeżdżał właśnie do miasta, zegarek Michała wskazywała godzinę dziewiątą minut dwadzieścia, a tabliczka Chełm przybliżała się do nas wielkimi krokami kół naszego środka transportu. Był ranek, a promienie słońca rzucały wspaniałe światło radości na cały świat, który budził się do życia.

Błogosławionych Świąt Wielkanocnych

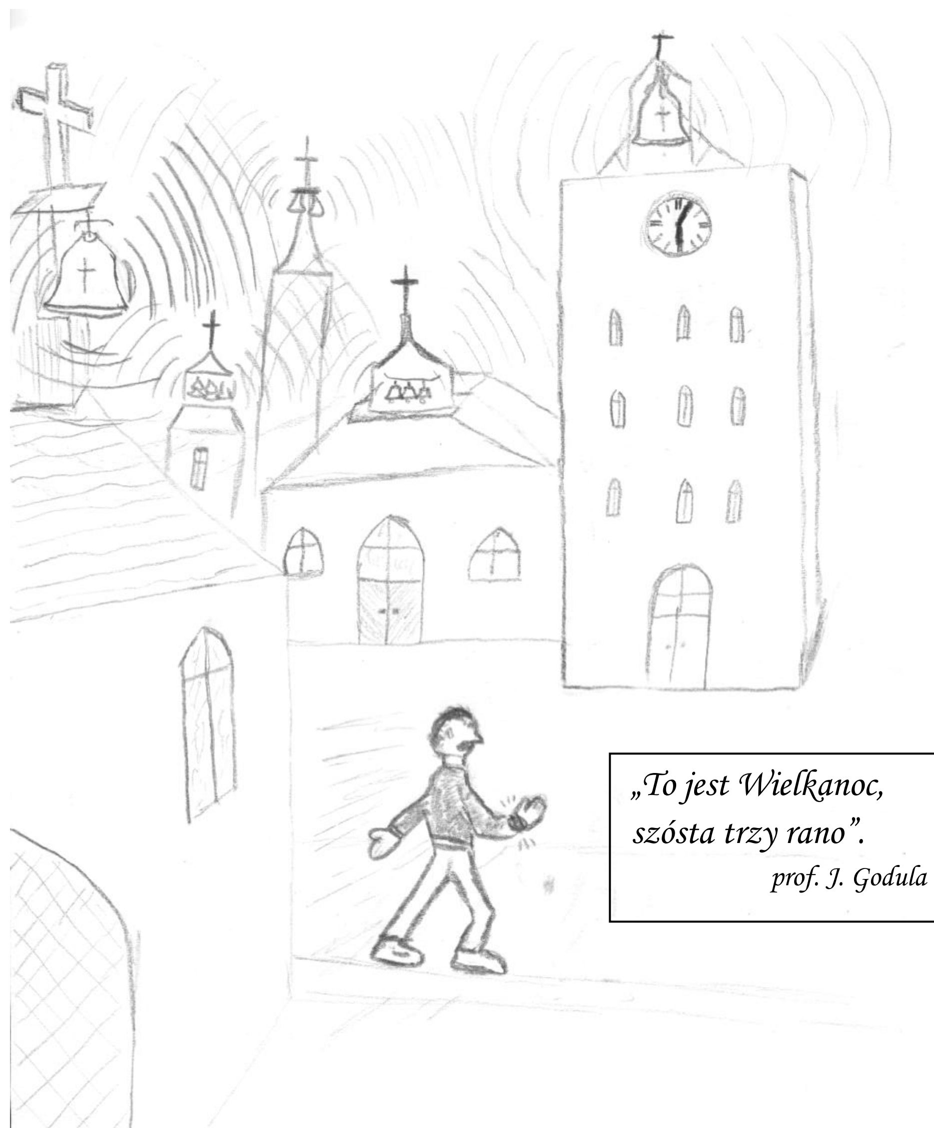
życzę wszystkim w imieniu całej redakcji „Czubka periodycznego”,

Bartłomiej Figura



Michał Maciąg

Przechodzimy do zadania – rys. 1



To jest Wielkanoc, szósta trzy rano... Gdzieś dzwonią, ale nie wiadomo, w którym kościele. Przechodzimy do zadania. Pamiętajcie o powstrzymywaniu się od zadań niekoniecznych w święta nakazane.



Zapraszamy do zgłaszania własnych publikacji. Czekamy na Państwa teksty i rysunki.
Propozycje publikacji oraz ewentualne pytania i komentarze prosimy kierować pod adres:

szanowny.redaktor@gmail.com